

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 154.

№ 16. | Warszawa, 16 (3) sierpnia 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Szczęście rodzinne.

OTWARCIE SEZONU.

Już od miesiąca rozbrzmiewają po błotach, stawach i jeziorach strzały naszej drużyny z pod sztandaru św. Huberta; wyposzczony przez długie tygodnie myśliwy, daje ujście swej energii, dziesiątkując kaczki, kszyki, dubelty, kurki wodne lub czajki. Jest to jakby introdukcya do wielkiego sezonu, który nareszcie z d. 14-ym sierpnia otwartym zostaje. Odleżała, a może nawet rdzą nadjedzona broń, ulega dokumentnemu oczyszczeniu; w domu panuje ruch gorączkowy, boć trzeba przygotować zapasy amunicyi; więc małżonka nemroda, a nawet jego podrosłe dzieci, zaprzęga się do ważenia prochu i ładowania gilz pod czujnem okiem samego mistrza; a stary, długą bezczynnością znudzony wyżeł, radośnie kręci ogonem, czując, że się już rozpoczną urocze dni polowań, owe nieustające ganiania po obszernych łanach, w pogoni za ukrytą i przerażoną zwierzyną. Nasz wierny towarzysz jest ożywiony bezgranicznym zapałem; nawet ciągi, jakie mu pan jego za nieposłuszeństwo wymierzyć nieraz musi, nic nie zmniejszają jego energii; otrząśnie się tylko, jakby go zimną wodą oblano, i mknie dalej z nosem pod wiatr zwróconym, aż póki dobrze mu znany, a tak miły zapach nie sparaliżuje ruchów jego w martwej, klasycznej stójce.

— No cóż, jakżeż tam z kurami — pyta myśliwy myśliwego.

— Dobrze, nawet zdaje się bardzo dobrze. Wiosna była dość wczesna i łagodna, lato nie przyniosło nam wielkich nawalnic, więc też i zwierzyna ządz się mogła prawidłowo. W dodatku urodzaje są dobre, a że to obfitość lęgów zawsze z niemi w parze idzie, więc gdzie się ruszysz, to spotkasz stadko z 14, 18, a nawet z 22 sztuk złożone. Bodaj, że się sprawdzają tutaj owe siedm krów tłustych i siedm krów chudych, o których nas biblia uczy. Rok 1897 był ostatnim z tych siedmiu lat obfitości i w owym to roku zwierzostany były u nas świetne. Po nim zaczyna się upadek, aż przyszły najchudsze lata: 1903 i 1904. Miejmyż nadzieję, że teraz znów pójdzie ku lepszemu, zwierzostany będą narastały, a nasza brać myśliwska w pełni odwetuje sobie przymusową bezczynność lat ubiegłych.

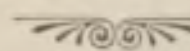
Lecz w zapale naszym nie zapominajmy, że to, co nam Bóg dał, szanować należy, bo przy złej gospodarce i lekkomyślnem używaniu, łatwo zmarnować możemy przyrodzone bogactwa. Nie bądźmyż synami marnotrawnymi, lecz na każdym kroku zwracajmy uwagę, aby zadowolnić swą gorączkę w miarę, bez ujmy dla lat następnych. Więc przedewszystkiem sporządźmy preliminarz, obliczywszy mniej więcej ilość sztuk danej zwierzyny na naszych terenach. Z kuropatwami jest to rzecz dość łatwa przy pomocy obsłuchywania stadek, a następnie obliczenia sztuk w każdem z nich. Przyszedłszy tą drogą do poznania przybliżonej ilości zwierzyny, powiedzmy sobie, że tylko połowę, a najwyżej $^2/_3$ z ogólnej sumy odstrzelić nam wolno, a resztę pozostawimy na rozpłodek. Na terenach naszych wyznaczmy sobie t. zw. rezerwy, t. j. miejsca, na których ani nam, ani też nikomu polować nie będzie wolno. Z tych rezerw zasilać się w przyszłości będą okolice, na których zwierzynę przez czas polowania zdziesiątkowaliśmy.

Do tych przepisów czysto gospodarczej natury, dostosujmy także pewien system w strzelaniu zwierzyny. Jeśli się stadko podrywa, nie strzelajmy nigdy w kupę, bo wtedy możemy wprawdzie dwie, trzy, a nawet i więcej sztuk jednym strzałem położyć, ale za to okaleczymy inne, które i dla nas i dla zwierzostanów przepadną, a tylko staną się łupem drapieżników. Nie strzelajmy też starek od stada, bo wiadomą jest rzeczą, że stara kura od stadka jest wielkiego znaczenia dla hodowli, bo ona zawsze lepsze miejsce na gniazdo znajdzie i w przyszłości prędzej swe potomstwo od zagłady uchroni. Starka zwykle zrywa się pierwsza, więc w gorączce swojej nie zapominajmy tego i lepiej strzału się wyrzeczmy, by szkody na przyszłość nie zrobić.

Rady, jakie przed chwilą pozwoliłem sobie sformułować, są, a przynajmniej powinny być wszystkim znane. Ale w naturze naszej tkwi, że nam ciągle przypominać trzeba najprostsze, najelementarniejsze zasady. Skorośmy raz weszli na drogę racyonalnej hodowli, to kroczmy nią wytrwale, choćby nawet z ograniczeniem naszej osobistej przyjemności.

A więc w imię św. Huberta!

Jan Sztolcman.



W PRZEWODNIĄ NIEDZIELĘ.

(Szkic myśliwski z Białej-Rusi).

(Ciąg dalszy).

Nareszcie słońce się schowało i nagle jakoś ciemno i ponuro uczyniło się w lesie. Z mchu dolециał daleki bełkot cietrzewia, przepowiednia pogody na dzień następny, i zamilkł. Powoli milkną i inne głosy, tylko kaczki i kszyki będą dawały koncert przez całą prawie noc.

Wtem na jednej z kęp, na brzegu mchu, w stronie przeciwnej od tej, w którą się udał Hrehor, rozległo się przeciągłe łopotanie i dał się słyszeć kilka razy odgłos, podobny do uderzania o siebie dwóch suchych kijów. Zatrzęsło mną całym: to głuszec zapadł na noc i jutro tu tokować będzie.

Obejrzałem się i mimowoli dreszcz mnie przeszedł; dziwnie ponury nastrój panował do koła. Przy niepewnem świetle zmroku wszystkie otaczające przedmioty miały jakiś dziwny, fantastyczny wygląd. Co chwila widzi się jakieś nowe kształty, których się uprzednio nie zauważyło; co chwila się wydaje, że coś się skrada, głównie z tyłu. Mrok gęstniał coraz bardziej. Wstałem powoli i ostrożnie zacząłem iść wzdłuż mchu w stronę Hrehora. Po chwili usłyszałem słabe gwizdnięcie, zatrzeszczały gałązki i pojawiła się ciemna jego postać.

— A co? — szepnął — czy słyszał panicz?

— Jeden zapadł na brzegu mchu, z ćwierć wiorsty od miejsca, gdzie siedziałem—odrzekłem.—A wy, czy zasadziliście?

— Koło mnie — szepnął znów Hrehor — zapadły dwa, ale jeden przeleciał dalej, głuszyca zwabiła. No, pójdziem teraz na nocleg. Przejdziem przez mech, aż na tamten ostrówek, a jutro ranieńko każdy do swojego pójdzie.

Powoli, żeby się do jakiej jamy nie zwalić, posuwaliśmy się naprzód. Gdzieniegdzie woda sięgała prawie do kolan i tam najostrożniej trzeba było iść, żeby nie narobić chlupotu. Dotarliśmy nareszcie do upatrzonej kępy i wynalazłszy odpowiednie miejsce z przeciwnej strony, zaczęliśmy rozniecać ogień. Po chwili buchnął płomień i zaraz jakoś raźniej i weselej zrobiło się na duszy. Dokładaliśmy ciągle gałęzi, ale ogień palił się marnie, gdyż wszystko było przesiąkłe wilgocią. Po niejakimś czasie rozpalił się jednak na dobre. Zabraliśmy się do wieczerzy. Hrehor wyciągnął z torby swe zawiniątko, rozwinął i wyjął wielki kawał chleba, trochę herbaty i cukru, imbryk blaszany i mały, fajansowy kubek. Uśmiechnął się stary dobrodusznie, widząc, w jaki mię to świetny humor wprawiło. Pobiegłem z imbrykiem do mchu po wodę,

Do Pilawina.

(*Dokończenie*).

Powróciłem na nocleg do pałacyku, gdzie nas oczekiwała obfita wieczerza, po spożyciu której i rozmowie, długo w noc się przeciągającej, udałem się na spoczynek, dobrze zasłużony długą a nużącą podróżą, dwudniowym niewczasem i wrażeniami myśliwskiemi.

Ulewny deszcz, który spadł w nocy, orzeźwił atmosferę; wstawszy więc rano, przy otwartem oknie, z niemałem zdziwieniem ujrzałem w bliskości kilkudziesięciu kroków od okien, młodą klępę, poważnie przechadzającą się wśród łąki. Łowczy, p. Mikula, pośpieszył mi objaśnić, iż to od cielęcia miejscowa wychowanka na koziem mleku, dlatego też przez wdzięczność, a może interesowność, te miejsca dotąd chętnie odwiedza.

P. Sokalski, który poprzedniego wieczoru, mimo zapowiadającej się burzy, na noc do domu odjechał, uprzejmie znów przybył dla czynienia mi dalszych honorów, jego berłu podległego państwa; wzmocnieni więc na siłach wypoczynkiem i pożywnem śniadaniem, wyruszyliśmy na dalsze spotkania, kierowani raportami straży leśnej, pilnie śledzącej miejsca pobytu pupilów mego towarzysza.

W ciągu dnia spotkałem więc kolejno: na odległości dziesięciu kroków, ogromnego łosia, pochodzącego, jak mi objaśniono, z Oranienbauma, a nielitościwie odpłacającego się za użyczoną mu gościnność, zawziętem ścinaniem całym pyskiem wierzchów młodych dębów. Początkowo przyjmował obecność naszą obojętnie, zrażony jednak widać, natręctwem ludzi wszelkich sfer, groźnym a jękliwym pomrukiem ostrzegł o zaszłej zmianie usposobienia; nie czekając więc z jego strony bardziej wymownych gestów, daliśmy, krótko mówiąc, nura. Był to potężny rogacz, czternastak, rogów jeszcze nie oczyścił wszakże, w rozpięciu jego łopat mógłby się do snu ułożyć średniego wzrostu człowiek.

Uważałem zaś, że klępy dziksze są od osobników płci męzkiej, może dlatego, że wodzą cielęta, jedna zaś obdarzyła w tym roku Pilawin aż trojgiem potomstwa! Udało mi się też zobaczyć zblizka młodego byka, w przyszłości oryginalnego „Kümerera", rośnie mu bowiem zupełnie do linii czoła prostopadle, róg jeden, nadając fizyognomii podobieństwo do nosorożca. Zdołaliśmy też dotrzeć na „Arturówce" do grona azyatyckich Marali, po które wyprawę nad brzeg Jeniseju tak barwnie opisał dzisiejszy mój towarzysz w zeszłorocznym „Łowcu Polskim". Z widzianych przezemnie, jelenich okazów, bodaj, czy przepiękny byk Maral, nie otrzymałby palmy pierwszeństwa. Co za budowa wspaniała, co za kształty, jaka szlachetność głowy, jakie rogi. O ile wnosić mogę z jednorazowego widzenia, jelenie kaukazkie ustąpić muszą Wapitim i Maralom.



Żubry.

Na przekór gościnności p. Sokalskiego, tropieniu straży leśnej, a memu pragnieniu, „Dybowskie" pozo-

---

a tymczasem Hrehor wystrugał trzy paleczki, które zestawiliśmy i zawiesiliśmy na nich imbryk nad ogniem, i w oczekiwaniu, aż się woda zagotuje, zasiedliśmy koło ogniska.

— A toż musi być dziś dziesiąty? — zapytał nagle Hrehor.

— Tak dziesiąty kwietnia, abo co?

— Ehe, toż dziś rok temu, jak ja sobie dobre polowanie urządził.

— Jakie? opowiedzcie, proszę.

— W przeszłym roku wiosna była wcześniejsza; zabiłem już, zdaje się, cościś około dziesięciu głuszców; aż tu w Wielki Piątek żona mówi mnie: Idź, zabij głuszca, zawież do miasta i kup jeszcze mąki i krup. To ja, niewiele myśląc, wziął fuzyę i poszedł. Przyszedłem ot tutaj, niedaleko, zasiadłem, czekam; przyleciał głuszec, ale na kroków sto pięćdziesiąt; co tu robić? jego samego nie widać, a odejść kiepsko, może zlecieć. Stoję ja i myślę, aż tu łu-łu-łu-łu i poleciał mój głuszec. Wtem zaraz słyszę chrup, chrup, chrup i cicho, a potem znów trzeszczy. A jeszcze nie ze wszystkiem ciemno było. Stoję i czekam; musi przyszedł, myślę Aleksiej leśnik, wie panicz? ot, licho przyniosło. Tylko ja patrzę, aż na wzgórek, jak raz przedemną, wylazł niedźwiedź, stoi i tylko nosem po powietrzu wodzi. Mną aż frybra zatrzęsła. Stoję, nie ruszę się, tylko ręką do torby po kulę. Dostałem, cichutko ją do lufy stemplem, wycelilem w sam środek i zadałem. Odskoczyłem w bok, patrzę, na górce niedźwiedzia niema. Nabiłem znów fuzyę i idę, aż on tam leży, jak pień. Kula ogromna, jak przeszła na wylot przez żebra, tak i dość.

— A blizko było?

— Blizko, kroków dwadzieścia. Zostawiłem ja tego niedźwiedzia, poszedłem do domu, wziąłem po cichu konia, przyjechałem, uwaliłem tego niedźwiedzia i jadę nazad. Już świt, a tu na wierzchu sosny siedzi głuszec, pięknie tak szyję wyciągnął i słucha. Daleko, ze sto pięćdziesiąt kroków; no, nic, myślę, dam. Nabiłem fuzyę kulą, przycelilem się, stuk, a on buch na ziemię. Przyjeżdżam do domu, a żona lamentuje: konia, powiada, ukradli. Tak ja do niej: Masz tobie, babo, i konia, i głuszca, i zwierza jeszcze. Ot, obradowała się! Zdjąłem skórę, zawiozłem ją do miasta i głuszca też; wziąłem za niego rubla, a za skórę piętnaście rubli i nakupiłem babie mąki i krup. A i od syna list na święta dostałem; ot, szczęśliwy był dzień! Ale, trzeba herbaty zasypać, bo już woda się gotuje. Wziął papierek z herbatą, wysypał połowę, a zawijając resztę, — to na jutro — rzekł, uśmiechając się.

— A syn wasz co robi? — spytałem.

— O, syn inżynierem jest. Jeszcze stary pan hrabia (wieczny pokój!) na wychowanie jego wziął. Tak, inżenierem jest, trzy tysiące rubli pensyi ma i mnie często przysyła. Ot, i tamtą drugą fuzyę, co panicz u mnie widział, to on mnie podarował; zacna fuzya, bije, jak harmata. Ożenił się. już czworo dzieci ma: chciał, żebym ja tam do niego, do Rygi przyjechał,

stały niewidzialnemi, dowiódłszy stałej niechęci ukazania się intruzowi, a widocznie porozumiawszy się w tym względzie z jednoplemieńcami swojemi, uralskiemi „Pygargusami“. Mając z sobą nieodłączny sztucerek, pozwoliłem sobie z desperacyi zabrakonować w lasach Pilawińskich, niech jednak obecność p. Nadleśnego uspokoi Hrabiego, iż ani marał żaden, ani choćby nawet głuszec nie padł ofiarą mej zemsty nad „Dybowskiemi“ i „Pygargusami“, jeno mieszkanka szczytów Pilawińskich, niebieska „kraska“, której skrzydło ma odtąd stanowić pamiątkę mego tam pobytu. Nadmienię przytem, iż stwierdziłem w tych rewirach nieobecność pióra, tak szkodników, jak i śpiewnych ptaków.

Spotkanie żubrów na 80 kroków stanowiło bez wątpienia punkt kulminacyjny moich myśliwskich wrażeń. Uczucie, że okazy zanikającego gatunku, nie wspominając już nawet ze stanowiska łowieckiego, stoją przedemną w naturalnej postawie o kilkadziesiąt kroków, tak silne sprawia wrażenie, iż próżno siliłbym się je oddać; jedynie adept św. Huberta odczuć je może. Wyglądają o ile wspaniale co do swej „carrure'y“, o tyle świetnie pod względem utrzymania, pełne boki, gładkie, sierć lśniąca, jak z pod szczotki, wogóle, wszystkie widziane okazy odznaczają się świetnem odkarmieniem, co stwierdzają liczne brogi wśród rewirów, ilość naturalnych łąk, oraz sztucznych polan, podsianych rozmaitemi, pastewnemi trawami.

Przenocowawszy drugą noc w Pilawinie, nazajutrz rano wybierałem się w powrotną drogę, gdy stary gajowy, Adam, typowa postać poleszuka, w lipowych łapciach przydreptał na swym kasztanku z oznajmieniem, iż w nocy łania, zwana „Mańką“, ocieliła się w sąsiednim rewirze. Nie mogłem oprzeć się pokusie zostania chrzestnym ojcem Pilawińskiego noworodka i pospieszyłem za Adamem na miejsce pomyślnego rozwiązania, zkąd, za naszem zbliżeniem, się cielątko jasno-żółte w białe centki w susach szparko pomknęło w gąszcz leśny; matka widocznie oddaliła się już za żerem. Gdy się jest w Pilawinie, wyobraźnia myśliwego odtwarza wspaniały obraz rykowiska o świcie wśród pysznej, tamtejszej przyrody, a życzyć wypada, tak dla dobra krajowej hodowli, jak dla satysfakcyi szlachetnego inicyatora, aby ruja tegoroczna odbyła się pomyślnie, co zresztą, dzięki sprzyjającym na miejscu warunkom, zdaje się być zapewnionem. Przyrost przychówku jest znaczny, nie licząc albowiem zwykłych kóz, zamkniętych, jak mi na miejscu mówiono, w czasie odgradzania Pilawina, od masy piszczowskich lasów, w ilości obecnie około stu sztuk, szlachetnych okazów, wraz z tegorocznym ich przychówkiem, naliczyć można również około setki, co wynosi swobodnej przestrzeni na sztukę około 30 morgów.



Spotkanie łosia z Marałem.

Oprócz serdecznych podziękowań hr. Józefowi Potockiemu za uprzejme ułatwienie mi zwiedzenia Pilawina, oraz p. Sokalskiemu za gościnne i pełne dobrej woli przyjęcie, jakiego doświadczyłem na każdym kroku swego dwudniowego tam pobytu, niech mi wolno będzie wyrazić na tem miejscu życzenie, aby ten jedyny, aklimatyzacyjny zakład rozwijał się na wołyńskiej ziemi w stosunku do rozkoszy, jaką miłośnikom przyrody dzisiaj już sprawia!

Krzywdę bym wyrządził, mimo woli, dwom sierotom, misiom-piastunom, których matka padła ofiarą w litewskich borach celności strzału hr. Tomasza Zamoyskiego, gdybym nie wspomniał o ich pociesznych

---

ale nie chciałem. Nie mógłbym tam wyżyć; mnie tam, wszystko jedno, jak rybie bez wody. Przyjeżdżał tu raz do mnie; fu! ze wszystkiem wielki pan; jak przyjechał, to ja myślałem, że sam gubernator. A jak zaczął opowiadać, co on robi, z jakiemi wielkiemi panami obiady je, to mnie aż dusza skakała z radości, że to mój syn. Później, jak zaczął mnie namawiać, żeby z nim pojechać i tam mieszkać, to mnie z początku aż dech zaparło z ochoty; ale potem myślę: jakże tak rzucić puszczę? nigdy może tu nie wrócić? nie słyszeć gonu, ani skakać do głuszca? nie, tak nie można — i zostałem. Tak, tutaj ja szczęśliwy, a tam co? Nie wygody i nie pierzyny mnie do szczęścia potrzeba, ale ja szczęśliwy, kiedy wiosenną porą, wieczorem na słonki pójdę, albo raniusieńko posłyszę, jak zakalamka i zaczyrydaje głuszec. Jesienią, ja szczęśliwy, kiedy stoję gdzie w lesie i słyszę gon mojego Żuczka, a zimą, jak czasem nawali się tu panów na obławę na niedźwiedzia, — wybierają, kto ma urządzać i wszyscy krzykną: Hrehor! on najlepiej! A jak naganka ruszy i panowie stuk-stuk-stuk-stuk, a nareszcie: „gotów! ohohohoho!“ Ot, wtedy ja szczęśliwy! Albo, kiedy po tropie za łosiami przyjdzie na łyżwach pędzić; w dzień często wiorst 50 — 60 przebieżeć. Zmęczy się człowiek, spoci, jak pies, ale szczęśliwy i wesoło tak na duszy, że choć tańcować. A w mieście... z początku może byłoby dobrze, a później — nie wytrzymałbym. Ale, musi być, już panicz spać chce, a ja rozgadał się, jak baba.

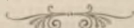
To rzekłszy, wstał i zaczął urządzać posłania ze świerkowych gałęzi. Byłem głęboko wzruszony wynurzeniami tej prostej i szczerej duszy, i wcale mi się spać nie chciało. Tymczasem Hrehor, urządziwszy posłania, zebrał jeszcze ogromną kupę chróstu, którą zwalił na ognisko i to, zrazu przyćmione, buchnęło wkrótce ze zdwojoną siłą. Położyłem się i próbowałem zasnąć; nie mogłem jednak. Noc była już zupełna, ale nie ta cicha i ponura noc jesienna lub zimowa. Las był pełen różnych odgłosów: Kaczki drą się w niebogłosy, na mchu pardwy tokują: to się kogut zaśmieje przeciągle, długo, zaszczeka i urwie, to znów kura zastęka; w powietrzu co chwila słychać warczenie kszyka, który, to odleci hen, że go ledwo dosłyszeć można, to znów nad samą głową zachichocze szatańsko, to znów, odleci i raptem, jak strzała, spuści się na dół, ze swojem: cia-ku, cia-ku, cia-ku...

— Ot, drą się, niech Bóg broni! zasnąć nie można — przerwał nagle milczenie Hrehor i prawie w tej samej chwili zachrapał, jakby na potwierdzenie słów swoich.

Stopniowo też i ja, ukołysany jednostajnością tych nocnych odgłosów i szumem ognia, poczynałem drzemać; nareszcie zasnąłem na dobre.

Włodzimierz Korsak

(Dok. nast.)



susach i ruchach. Niech zdrowe rosną w zastępstwie przedwcześnie ze stanowiska zeszłego, poprzednika Malajskiego, gwoli szczytnemu obowiązkowi stróżów wjazdowej Pilawy.

Serdecznie pożegnawszy miłego gospodarza w uroczej jego nadleśniczówce, po staropolsku przezeń na drogę nakarmiony i napojony, a jako szczyt uprzejmości, dzielnemi córami słynnego „Cadi'ego“ do Sławuty odesłany, po raz ostatni przecierpieć musiałem skutki poniedziałkowego wyjazdu z domu, nie dostawszy w Koziatynie „plac-karty“ do kuryera. Próżne były prośby i groźby wobec przedstawicieli przeżywającej się zasady, iż nos dla tabakiery, a nie viceversa; w rozmyślaniu więc filozoficznem o marności ludzkich obliczeń, musiałem *volens nolens*, drugą noc od wyjazdu strawić w cuchnącym zajeździe, aż na drugi dzień dopiero uskuteczniając resztę podróży, niemal stojąc w wagonie, dzięki uległym panice z przed groźnego „Potemkina“.

Mimo to, wspomnienie Pilawina na długo wryte w mej pamięci.

Zelec.

Lipiec, 1905 r.



WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Ptaki wogóle, a więc i kuropatwy są bardzo odporne i mało podlegają chorobom. Z jednej strony szczelne upierzenie chroni ptaki od chorobliwych wpływów zewnętrznych, a silnie zbudowany żołądek uniemożliwia rozwój zarazków wewnątrz ciała. Ztąd też kuropatwy zapadają najczęściej na choroby organów mniej chronionych, jak dziób, język, krtań, przełyk, biegi, a mniej niebezpiecznie także na ogólne osłabienie.

W okolicach o ziemi miałkiej z natury, gdzie uprawa buraków i wogóle okopowych jest na pierwszym planie, wskutek braku twardych przedmiotów, o któreby kuropatwy narastający dziób normalnie przycierały, wyrasta on i zakrzywia się u słabszych osobników tak, że staje powodem wycieńczenia i śmierci niektórych kuropatw.

Przeciwnie, w okolicach o ziemi ubogiej, gdzie przeważnie owsy i t. p. twarde ziemiopłody produkują, twardnieje kuropatwom koniec języka, wskutek czego nie odżywiają się normalnie i zwykle są chude. W jesieni lub na wiosnę w czasie zimnych wiatrów zapadają kuropatwy na dyfteryt, który się objawia lekkiem charczeniem co pewien krótki odstęp czasu. Ze zmianą temperatury na łagodniejszą, ustępuje choroba bez szkodliwych następstw. Tak samo na wiosnę, lub w jesieni, zapadają kuropatwy na chorobę przełyku, na t. zw. pypeć, podobnie, jak kury domowe. Pypeć objawia się silnem dławieniem (przełykaniem), a powodują go pasorzyty (*Syngamus trachelis*), które osiedlają się w przełyku i drażnieniem rodzaj dławienia powodują. Pasorzyt ten żyje na dżdżownikach, czyli na glistach i razem z niemi dostaje się przy spożyciu do przełyku ptaków. Jako środek zaradczy, zalecają dodawać do wody kwas salicylowy w stosunku jak 1:100, co nb. tylko u ptaków hodowanych w domu, zastosować można, lub

Creolina Prarbrun	10,1
Gliceryn	5,0
Woda dystylowana	60,0

małą łyżeczkę na sztukę dziennie przez cztery dni.

Na cieki zapadają kuropatwy najczęściej trojako:

1) przez mechaniczne zalepienie stopek, które polega na stopniowem nalepianiu się na palcach gliniastej ziemi, tworzącej w rezultacie kule spoiste utrudniające, lub zgoła uniemożliwiające chodzenie, co w dalszej konsekwencyi powoduje kalectwo i wycieńczenie; wycieńczona kuropatwa pada łatwo ofiarą drapieżników, lub ginie śmiercią głodową; kulki na stopkach trzymają się tak silnie, że tylko z trudnością odjąć się dają, przyczem zwykle nie obejdzie się bez uszkodzenia palców;

2) przez zarażenie się jaszczurem, znaną powszechnie, epidemiczną chorobą u bydła rogatego i nierogacizny, zwłaszcza, jeżeli się zjawi o ostrym przebiegu, co zwykle zdarza się w suche i upalne lata; jaszczur rozpoczyna się od stopki i powoduje ropienie w górę cieków, obejmując przytem całą, nieopierzoną część nóg;

3) najczęściej przez dwurazowe wysiadywanie jaj, szczególnie podczas suchych i upalnych lat, tworzą się kuropatwom, wskutek anormalnego krążenia krwi, odciski, rodzaj brodawkowatych strupków, pod któremi zbiera się materya. Nabrzmiałości *vel* odciski formują się zwykle przy kolanku, naskórek i sucha skóra pękają, materya sączy się po ciekach do stopek, a nieobmyta rana jątrzy się i powoduje ciężkie kalectwo, które w stanie natury kończy się zwykle wycieńczeniem i śmiercią.

Choroba dosyć uparta, powoduje głębokie rany, sięgające do ścięgien, jest jednak przy pewnej opiece wyleczalną.

Wadliwe odżywianie powoduje biegunkę i ogólne osłabienie, czemu można przeciwdziałać przez zadawanie ziarna. Na ogólne osłabienie i stan zdrowia kuropatw wpływa także pora pierzenia.

Dodać wypada, jako cechę charakterystyczną wogóle, że chore sztuki odłączają się zwykle od stada i trzymają się na uboczu; objaw ten jest najlepszą wskazówką niemocy osobnika.

Z pasorzytów, nawiedzają kuropatwy wsza ptasia (*Philopterus variabilis*) i kleszcz (*Ixodes ricinus*); obydwa pasorzyty jednak mają tylko podrzędne znaczenie.

Z opisanego wyżej sposobu życia, wynika bezsprzecznie, że kuropatwy rolnictwu żadnej szkody nie wyrządzają. Biorąc pod uwagę krótkie terminy, w których zasiane, lub dojrzałe ziarno na polach pozostaje, jak niemniej sposób wyszukiwania żeru (szukają go przeważnie dziobem), przyznać musimy, że istotnie ubytek ziarna, które w tym krótkim czasie kuropatwom, między innemi, służy za pożywienie, redukuje się do minimum. Twierdzenie powyższe popierają fakta z praktyki, tak, że nawet w okolicach o najlepszym stanie kuropatw, niema zażaleń ze strony włościan na szkody, wyrządzane przez kuropatwy, a przecież kto bliżej zna naszego chłopka, przyzna, że pod tym względem może on być dla nas godnym zaufania probierzem. Niewinność kuropatw atoli, nie rozciąga się na wszelkie gałęzie kultury, bo oddając słuszność sprawie, przyznać musimy, że robią pewne szkody w polach, uprawianych jako ogrody warzywne. Szkody polegają głównie na psuciu ogórków nasiennych, z których ziarna wydziobują, lub w tym samym celu kaleczą pomidory i t. p.

W kulturach leśnych, mianowicie w siewach, wyrządzają pewne szkody przez wybieranie zasianego nasienia.

Przytoczone szkody są atoli mniejszego znaczenia, aniżeli pożytek i przysługi.

Przysługi, świadczone rolnictwu i leśnictwu, uwydatniają się głównie w niszczeniu szkodliwych owadów, gąsienic, pędraków, ślimaczków i t. p., a zasługa to niemała, skoro zważymy, że w większej ilości wypadków im szkodnik mniejszy, tem dotkliwsze straty wyrządzać nam może, a innych środków zaradczych, niż naturalne, z trudnością lub małym skutkiem przeciw niemu stosować możemy.

Pożytek z kuropatwy, to polowanie dla myśliwych, może najmilsza rozrywka w jesieni, a następnie duża ilość wyborowego mięsa w stosunku do wielkości ptaka.

Wartość, jaką osiąga kuropatwa na targu w Warszawie, waha się, zależnie od czasu, od 40—50 kop. za sztukę. Wogóle jednak cena kuropatw ciągle się podnosi, i tak np. w Czechach do niedawna kosztowała para kuropatw 50—60 centów, dziś kosztuje już 180 centów, a to z powodu, że mniej więcej od 10 lat rozpoczął się eksport kuropatw do Paryża, a jaja kuropatw zbywają kłusownicy do Niemiec, więc jedno z drugiem wpływa na tak znaczne podniesienie ceny.

(*C. d. n.*).

RASY PSÓW NIEOKREŚLONEGO POCHODZENIA.

Istnieje kilka ras psów, dostatecznie ustalonych i utrzymywanych w czystości, ale powstałych widocznie z różnych krzyżowań i zwyrodnień, tak, że obecnie nie można ich pomieścić w żadnej z pięciu wielkich grup. Wszystkie te rasy są bezużyteczne i u nas mało rozpowszechnione, dlatego też nie będę się nad niemi szczegółowo rozpisywał i podam tylko skróconą ich charakterystykę.

1) Psy dalmackie.

Zwane są powszechnie dalmackiemi dogami, choć z grupą dogów nic mają nic wspólnego, a również nie mogą być dalmackiego pochodzenia. Dalmacya, kraj od natury dziki i niemający nigdy własnej, wysokiej kultury, nie mogła być kolebką takiej, wysoko uszlachetnionej i wyłącznie luksusowej rasy.

Psy dalmackie wielkością i kształtem najwięcej przypominają średnie pointery; mają tylko mordy szczuplejsze i uszy wyżej osadzone i mniejsze, choć również leżące gładko przy policzkach. Ogony, grubsze przy osadzie i zwężające się ku końcowi, powinny być pokryte jednostajnie krótką szerścią i nie mogą być zakręcone ani noszone zbyt wysoko. Szerść powinna być krótka, leżąca gładko, lecz nie zbyt delikatna. Najbardziej charakterystyczną cechę psów dalmackich stanowi maść. Na czysto białem tle powinny być rozrzucone równomiernie okrągłe centki wielkości mniej więcej grosza, a na głowach, uszach i ogonach drobniejsze. Czarne te centki powinny wyraźnie odcinać się od białego tła, a domieszka białych włosów na centkach stanowi wielką wadę.

Większych łat czarnych, nawet na łbie i uszach, nie dopuszcza się zupełnie. Oczy, dość szeroko rozstawione i średniej wielkości, powinny być ciemnopiwnego koloru, a nos czarny.

Mniej poszukiwaną jest odmiana z centkami ciemno-kasztanowatemi, lecz u tej odmiany oczy powinny być jaśniejsze i nosy nie czarne, lecz ciemnobronzowe.

Psy dalmackie są średniej inteligencyi, do panów swych przywiązane, a względem obcych ludzi niedowierzające.

2) Psy bez szerści.

Psy bez szerści znane są oddawna, bo od czasu odkrycia Ameryki; dotąd jednak nie podzielono ich na rasy lub odmiany i nie ustanowiono dla nich cech typowych. Wogóle, tak w Europie, jak i w krajach z europejską kulturą, nie zdołały one nigdy i nigdzie rozpowszechnić się i znajdują bardzo nielicznych zwolenników. Nic to dziwnego, gdyż wygląd ich, z powodu zupełnego braku szerści, nie jest wcale ponętny i dotykanie gołej, chłodnej skóry także nie jest przyjemne, choć z drugiej strony, są to pieski zgrabne, zupełnie harmonijnej budowy. Ujemną ich stronę stanowi także to, że są bardzo wrażliwe na zmiany atmosferyczne i na ukąszenia owadów.

Brak szerści jest cechą zwyrodnienia, nabytą i ustaloną przez psy już w niewoli, i to wśród ludów, posiadających dość wysoką kulturę, gdyż ani w stanie dzikim, ani u ludów pierwotnych, psy gołe nie mogłyby istnieć. Pierwsze psy bez szerści europejczycy znaleźli u azteków i inkasów w Meksyku i w Peru. W późniejszych już czasach odkryto takież psy w Chinach. Nareszcie w ostatnich latach zeszłego stulecia pojawiły się w Europie psy gołe, jakoby pochodzące z południowej Afryki. Rzeczywiste pochodzenie tych ostatnich jest więcej niż wątpliwe; u dzikich kafrów i buszmenów podobna rasa nie mogła się ustalić i podług wszelkiego prawdopodobieństwa, psy gołe, znajdujące się obecnie u osiedleńców w południowej Afryce, pochodzą od sprowadzonych tam psów chińskich, lub amerykańskich.

Jak już wspomniałem, rasy i odmiany psów gołych nie zostały dotąd dokładnie zbadane; zresztą nie wiele one różnią się między sobą.

Tak amerykańskie, jak i chińskie psy bez szerści są nieduże, od 25 do 35 cm. wysokości, budowy lekkiej, charcikowatej. Mordki mają szczupłe, dość wydłużone, a czoła szerokie i wypukłe. Pieski chińskie są masywniejsze, uszy mają długie i zawsze ostro sterczące do góry; są przytem zawsze zupełnie gołe. Amerykańskie zaś są lżejsze, uszy mają mniejsze, najczęściej półstojące i odrzucone ku tyłowi; często też mają na łbie kępkę szerści dość długiej, ostrej i rozrzuconej, a czasami i kitkę na końcu ogona. Kolor skóry, tak u jednych, jak i u drugich, bywa albo szaro-popielaty, albo czerwono-cielisty, przyczem często psy popielate bywają cielisto centkowane, a psy cieliste z centkami popielatemi.

3) Pieski maltańskie.

Małe te pieski pokojowe są najwięcej zbliżone do skarlowaciałych pinczerów. *Głowy* mają szerokie i okrągłe; *mordki* dość krótkie i szczupłe; *uszy* zwieszone na dół; *korpus* dość wydłużony; *nogi* krótkie; *ogon* średnio długi, zagięty na grzbiet. Szerść piesków maltańskich powinna być bardzo długa (od 20 do 25 cm.), delikatna, jedwabista, lekko falista, lecz nie kręcona, nawet na łbach, mordach i nogach długa, a najdłuższe na uszach i ogonie. Maść zawsze czysto-biała, a oczy, nos i pazury czarne.

4) Pieski bolońskie.

Różnią się od maltańskich tylko tem, że uszy mają nieco odsadzone od głowy, przez co łeb wydaje się szerszy, a szerść ich jest krótsza i mocno fryzowana. Maść również biała, a oczy, nosy i pazury czarne.

5) Pieski japońskie (Chin-Chin).

Pierwsze japońskie pieski pokojowe zostały sprowadzone do Europy przez portugalskich misyonarzy jeszcze w połowie VII wieku i ofiarowane małżonce króla angielskiego, Karola II. Król ten, wielki amator psów, krzyżując japońskie Chin-Chin ze spanielami, wyprowadził rasę karłowatych spanieli, zwaną od jego imienia pieskami króla Karola, istniejącą i obecnie. Potem Chin-Chin'y przez długi czas nie pokazywały się w Europie i zaczęły pojawiać się na wystawach dopiero ku końcowi zeszłego stulecia. Obecnie należą do rzędu dość pospolitych piesków pokojowych.

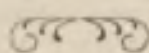
Chin-Chin'y mają bardzo oryginalne głowy, które częściowo oddziedziczyły po nich i King-Charls'y. Czaszka u nich jest nadmiernie dużą w stosunku do

wielkości psa, i bardzo wypukłą; przełom nosowy bardzo silnie odznaczony, a morda króciutka i szczupła. Warga dolna bywa nieco dłuższą od wierzchniej, lecz zęby nie powinny być widoczne. Odległość od oczów do nosa jest bardzo mała, a oczy duże, wypukłe i szeroko rozstawione. Uszy piesków japońskich są długie i zwieszone na dół, osadzone wysoko i nieprzylegające do policzków, lecz nieco od głowy odsadzone; mocno kiciaste ogony noszą zakręcone na grzbiet; korpus chin-chin'ów bywa stosunkowo krótki, gdyż długość jego nie powinna przewyższać wysokości w łopatce. Szerść powinna być długa, prosta i jedwabista, lecz nie leży gładko, ale jest lekko nastroszona, szczególniej na karku, na którym tworzy rodzaj grzywy. Wypukłe, wielkie głowy, króciutkie mordki, grzywy na szyi i karku, oraz silnie uwłosione uszy, nogi z tylnej strony i ogony, nadają pieskom japońskim bardzo oryginalny wygląd. Włos na głowach, mordach i przedniej stronie nóg jest krótki i delikatny. Maści chin-chin'y bywają, albo jednostajnie: czarnej, ceglastej, żółtej lub białej, albo też w łaty pierwszych trzech kolorów na tle białem. W ostatnim wypadku łaty powinny być duże i regularnie rozłożone. Pieski łaciaste są więcej poszukiwane. Wzrost chin-chinów około 25 cm.

6) Pieski pekińskie.

Pieski te nie duże, od 25 do 35 cm. wysokości, najwięcej przypominają budową mopsy; mają również duże i wypukłe łby; krótkie i szerokie mordy; duże, wypukłe i szeroko rozstawione oczy. Mają też silne kości, a całą budowę—zwięzłą i masywną. Różnią się zaś od mopsów tem, że są długowłose, uszy mają długie i zwieszone, a ogony noszą wyniesione półkolem nad grzbietem. Szerść piesków pekińskich jest na całem ciele długa, prosta i dość szorstka; pod nią znajduje się gęsty, dolny puch. Wierzchni włos jest najdłuższy na uszach, ogonie i naokoło szyi; na mordach i przednich stronach nóg — krótki. Maści pieski te bywają: czarnej, brunatno-płowej, płowej, białej, białej w czarne łaty, lub brunatno-płowej z pręgowaniem. Odmiany płowe mają często czarne maski.

Pieski pekińskie, zwane także tientsińskiemi, w Europie są mało rozpowszechnione.



Polowanie ze pskowianami.

(Ciąg dalszy).

Wogóle zwrócić muszę uwagę, że zanęcanie wilków stanowi warunek *sine qua non* dobrego rezultatu polowania, wypada przeto o niem powiedzieć słów parę.

Już pod koniec czerwca młode wilki zaczynają włóczyć się ze staremi i gniazdo daje znać o sobie całej okolicy rannem i wieczornem wyciem. Wywiedziawszy się na miejscu o kierunku, w którym słychać było wycie, pskowianin wabi wilki, aby dokładnie określić, gdzie się znajduje gniazdo. Sztuka wabienia nie należy do trudnych i łatwo wyuczyć się jej może każdy, kto ma dobre płuca, szczególnie że młode wilki odzywają się przy byle jakiem imitowaniu wycia. Mieliśmy przykłady, że wilki odzywały się na głos fabrycznego świstka lub syreny statków parowych. Oczywista, że i w tej sztuce znajdą się prawdziwi artyści, którzy doskonale wystudyowali mowę wilczą, lecz powtarzam, że niema bynajmniej potrzeby wielkiego w tym razie uzdolnienia.

Określiwszy dobrze miejsce znajdowania się gniazda, pskowianin oznacza, gdzie należy położyć zanętę; powinna ona bezwarunkowo leżeć na otwartem miejscu, niedaleko od brzegu lasu, w polu, na porębie lub nawet wśród lasu, lecz na leśnej polanie. W lesie kłaść zanęty nie należy, gdyż jej wilki łatwo tam nie znajdą, a jedzą ją niechętnie, obawiając się zasadzki. Jeżeli miejsce gnieżdżenia się wilków stanowi dobre zimowe schronienie, to zanętę najlepiej jest położyć w pobliżu niego; lecz w razie, gdy to miejsce z nastaniem mrozów ogolaca się silnie, co bywa często, jeśli miejsce pokryte jest trawami, w których wilki chętnie się lęgną, — to niezbędnem jest wyszukać w okolicy odpowiedni dla zimowego legowiska las i pod nim zanętę zakładać. Jest do życzenia, aby zanęta leżała nieopodal od mało uczęszczanej drogi, ażeby ją łatwo było zakładać i snadnie się do niej dostać w czasie polowania. Nie należy zanęty kłaść w pobliżu wsi, bo ją tam niszczą psy.

Wogóle łatwiej jest utrzymać wilki w pobliżu miejsca ich lęgu, lecz można je też zanęcić bardzo nawet daleko od tego miejsca. Niekiedy jest to niezbędnem dla zapewnienia dobrego rezultatu polowania, jeżeli w pobliżu znajdują się cudze ziemie, gdzie bywa również zakładana cudza zanęta. Kłaść ją przy obcej granicy, znaczyłoby to zanęcać wilki dla sąsiada. Jeśli to jest możliwem, należy kłaść zanętę już pod koniec sierpnia (s. s.); wprawdzie w tym czasie wilki niechętnie ją jeszcze jedzą, lecz nie powinniśmy się tem zniechęcać: niezbędnem jest, aby wilki wiedziały, że zanęta znajduje się blizko; niekiedy można mieć nadzieję, że one będą się trzymały stale jednego miejsca. Jeśli zaczniemy kłaść zanętę późno, podczas zimy, to trudniej nam będzie wilki utrzymać; podrosła młodzież, włócząc się po okolicy nieraz o dwadzieścia wiorst od miejsca lęgowego, zaznajomi się już z innemi zanętami. Takie wilki przy zanęcie trzymają się tylko chwilowo i nieraz przepadają po całych tygodniach.

Nigdy nie należy kłaść dla jednego gniazda zanęty w kilku miejscach, gdyż przyzwyczaja to wilki do włóczenia się, co utrudnia bardzo polowanie. Przypominam sobie, jak pewnego razu zadawaliśmy zanętę dla jednego gniazda w dwóch miejscach, w odległości jakich dwudziestu wiorst jedno od drugiego, i dopiero po nieudałem polowaniu spostrzegliśmy swoją omyłkę. Aby nie popełnić tego błędu, niezbędnem jest sprawdzić gniazda, między któremi odległość wynosi mniej, aniżeli dwadzieścia do dwudziestu pięciu wiorst; w większej ilości wypadków okaże się, że jest to jedno i to samo gniazdo, gdyż na tę odległość rzadko kiedy wilki się lęgą.

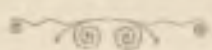
Położywszy zanętę, należy ją od czasu do czasu oglądać i zasilać. Jeśli już po śniegu wilki przez dłuższy czas jej nie odnajdą, to należy ją przenieść w inne miejsce, gdyż wybrane początkowo może się wydawać wilkom, dla jakichkolwiek powodów, niebezpiecznem. Ażeby ułatwić wilkom znalezienie zanęty, wypróbowany jest następujący sposób, który często daje doskonałe rezultaty: świeżo obdartego konia ciągnąć, jako powłokę za saniami, starając się przecinać wilcze tropy.

Gniazdo wilków, złożone z 8 — 9 sztuk, zjada ciało jednego konia w jedną noc, a zatem, żeby zanęta nie wyczerpywała się, należy zakładać 3—4 konie na tydzień. Niezmiernie jest ważną rzeczą, ażeby zanęta nieprzerywała się przed polowaniem, a w tym celu na dwie noce przed polowaniem niezbędnem jest położyć świeżą koninę, a nawet lepiej dwa konie; dobrze jest założyć jedną padłą krowę, gdyż na to mięso wilki są bardzo łakome.

Zdarzało się spotykać w literaturze łowieckiej radę, żeby rozrzucać zanętę po całym okręgu, aby tym sposobem zatrzymać wilki włóczące się. Nie radziłbym słuchać tej rady. Przypadkowe wilki zawsze znajdą zanętę zadaną i utrzymywaną w pewnem, stałem miejscu; tymczasem porozrzucana tu i owdzie, przyucza miejscowe wilki — całe gniazdo lub resztki rozbitego gniazda — włóczyć się po całej okolicy, co

jedynie utrudnia polowanie. Przy oględzinach zanęty należy unikać chodzenia przy niej, a lepiej jest objeżdżać ją na saniach, aby nie pozostawiać niepotrzebnych śladów, których wilki nie lubią.

(*C. d. n.*).



Indyjska wystawa psów.

Jedno z pism kinologicznych otrzymuje list prywatny z Bombayu, zawierający trochę szczegółów o ciekawej wystawie psów w Indyach.

Wystawę urządzono w końcu lutego jednocześnie z wystawą koni; pierwsza była obficie obesłaną kosztownemi i pięknemi psami. Dla hodowcy psów i dla myśliwych zwiedzanie wystawy było zarówno zajmujące, jak i pouczające. Miłe pieski bowiem, które spacerowały luźno po placu wystawy, nie przywiązane łańcuchami do boksów, wyglądały często tak zabawnie jako nudzące się istoty, lub też z miną zuchwale poważną, że właściwie wszyscy prawie goście wystawy mieli z tego powodu uśmiechnięte twarze.

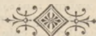
Większość psów należała do osób pochodzenia angielskiego, ale i bogaci Indyanie wystawiali na widok publiczny swe wspaniałe egzemplarze. Najkosztowniejsze okazy spotykało się śród terrierów, następnie pomiędzy psami myśliwskiemi, szkockiemi psami owczarskiemi i małemi, japońskiemi psami jedwabistemi. Pierwszą nagrodę otrzymał jednak wielki dog duński, nazwany „Capitain Thor". To prawdziwie królewskie zwierzę wywoływało zachwyt powszechny śród zwiedzających wystawę, będących zwolennikami i znawcami psów. Szczęśliwemu posiadaczowi ofiarowano za psa bajeczne sumy, ale jako człowiek bogaty i kapitan angielski, odmówił sprzedaży.

Każdy z wystawionych psów miał swe rodowody, w dalszą przeszłość sięgające; niektóre suki — matki wybitnego pochodzenia były wystawione razem ze szczeniętami, liczącemi dwa, lub trzy miesiące życia. W Bombayu widocznie wciąż jeszcze pielęgnuje się starannie prawdziwe buldogi, gdyż na wystawie było kilka istotnie niezwykle pięknych egzemplarzy. Wiele z tych europejskich psów rasowych, urodziło się w Indyach, inne sprowadzono tu jako jeszcze bardzo młode, przyczem wszystkie się zaklimatyzowały wybornie przy odpowiedniem pielęgnowaniu.

Wielokrotnie starano się z dzikich psów *arabskich*, stanowiących gatunek krzyżowania z szakalami trzeciego lub czwartego pokolenia,—uczynić dobre, czujne psy o jednym typie. Nazwano je „Arabami" i osiągnięto w końcu dobre rezultaty, o czem świadczą egzemplarze, znajdujące się na wystawie: są one szczególnie dobrze wytresowane na punkcie czujności, w razie zbliżenia się człowieka. Natomiast nie udało się żadnym sposobem uzyskać tego, żeby one były odpowiednie do aportowania i żeby w ogóle mogły być pomocą na polowaniu. „Araby" te sprowadzono także do Anglii, gdzie przetrzymały dobrze zarówno lato, jak zimę,—tę ostatnią przy prawidłowem obchodzeniu się i opiece. Nie znosiły jednak deszczów, nawet letnich. Zresztą psy czujne wielkich gatunków są wszędzie coraz rzadsze, a przeto pożądanem byłoby spróbowanie, czy te „Araby" nie dadzą się krzyżować z innemi gatunkami.

Na wystawie były także okazy jamników, urodzonych w Niemczech. Psy te czują się bardzo dobrze w Indyach.

K.



POLOWANIE NA KUROPATWY Z LATAWCEM W ALZACYI.

Pan G. de Franqueville opisuje w „La Chasse Illustrée" ten ciekawy sposób polowania na kuropatwy, u nas, jak dotychczas, zupełnie jeszcze nieznany.

„Wielu myśliwych słyszało zapewne o polowaniu z latawcem, lecz nieliczni z pomiędzy nich praktykowali je, szczególnie u nas, myślę przeto, że kilka szczegółów o tym rodzaju polowania może ich zainteresować.

Latawce, używane do tego celu, mają zwykle formę ptaka drapieżnego, np. sokoła, myszołowa lub jastrzębia, mniej lub więcej dobrze naśladowaną. Przyrząd ten puszcza się nad kuropatwami wtedy, gdy one się stają już tak bystremi, że się nie dają podejść na możliwy strzał. Ptaki, przerażone zjawieniem się nieznanego drapieżnika, kryją się, i jeśli tylko manewr był dobrze wykonany, myśliwy przy pomocy psa, który ptaki wystawia, może je podejść na przyzwoity strzał.

Różne są rodzaje tych latawców: jedne z nich, pochodzące z Anglii, są doskonale zbudowane i o częściach zczłonkowanych (*articulés*); inne znów składają się z prostej, drucianej ramki, pokrytej czarną materyą jedwabną i o skrzydłach ruchomych.

Zwykle posługujemy się temi przyrządami dopiero w październiku i listopadzie, to jest wówczas, gdy po dwumiesięcznych polowaniach kuropatwy stają się tak bystremi, że się nie dają podejść. W tej porze na równinach nadreńskich wiatr bywa dostatecznie silny, aby dość zresztą ciężkie latawce utrzymać w powietrzu.

Muszę nadmienić, że w Alzacyi polujemy na kuropatwy z wyżłem zwykle dość późno.

Dzięki temu, że prawo zmusza gminy do wydzierżawiania polowań na swych gruntach w parcelach dość znacznych, tereny myśliwskie są mało rozdrobnione i należą do stosunkowo małej ilości właścicieli. Zwierzyna jest tu zwykle mało niepokojona, miejsc zakrytych jest obfitość, naganki na kuropatwy dość rzadkie, gdyż płoszyłyby one zanadto zające, których tu jest mnóstwo, - słowem, jest to doskonały teren do polowania na kury z psem legawym, i ptaki te wogóle nie są tu bardzo bystre w początkach sezonu.

Lecz, ponieważ lato 1904-go roku było okropnie suche, wszystkie remizy, łany lucerny, kartofli i kukurydzy, które tu się spotyka na każdym kroku, były zupełnie wysuszone. Już w początkach sierpnia pola wyglądały, jakby usiane patykami; a do tego należy jeszcze dodać grunt, który, szczególniej w Górnej Alzacyi, jest piaszczysty, a miejscami żwirowaty (jest to dawne łożysko Renu).

Dzięki temu, gdyśmy około 15 sierpnia wyprowadzili swoje psy, aby je zwolna trenować, ponieważ sprzęt już był zupełnie ukończony, zastaliśmy wszystkie ptaki, nawet pisklęta, strasznie harde, niewytrzymujące stójki, cieknące bruzdami kukurydzy lub kartofli, aby się zerwać na niemożliwą metę; a w 8 dni później (otwarcie polowania u nas odbywa się zawsze 23 sierpnia) mieliśmy bardzo smutne polówki, mimo, że ptaków była obfitość.

Ponieważ w naszych stronach jest stosunkowo mało myśliwych na bardzo znacznych przestrzeniach, nie mogliśmy przeto wykonywać, jak w prowincyach Beauce lub Brie, wielkich manewrów okalających, aby zmordować kury częstem podnoszeniem.

Zdecydowaliśmy się przeto uciec się do swych zwykłych latawców, z któremi tak skutecznie polujemy w październiku i listopadzie; lecz w sierpniu wiatr był tak słaby, że nasze przyrządy źle latały, a właściwie nie chciały podnosić się wcale. Na szczę-

ście udało nam się podówczas znaleźć u pewnego handlarza zabawek w Wiedniu, latawce nadzwyczaj lekkie. Składają się one ze szkieletu z nadzwyczaj lekkich patyczków sosnowych, na których rozpięta jest tkanina koloru brunatnego. Wszystko to składa się nakształt parasola. Kiedy przyrząd jest rozpięty, podobny jest do wielkiego myszołowa, a lot jego zupełnie przypomina lot tego drapieżnika. Nadto sprężystość patyczków robi wrażenie ruchu skrzydeł daleko większe, aniżeli we wszystkich, znanych nam dotychczas latawcach. Ponieważ przyrządy te są nadzwyczaj lekkie i bardzo duże, więc wystarcza wietrzyk (względnie lekki), aby je do góry podnieść; łatwo też jest niemi manewrować.

Ponieważ niepodobna jest jednocześnie trzymać latawca i polować, więc też mieliśmy zawsze z sobą przynajmniej jednego gajowego, który po krótkim przeciągu czasu nabierał wprawy w manewrowaniu.

Istnieją dwa sposoby polowania z latawcem, względnie do siły wiatru psa i jego chodów.

1. Jeżeli mamy psa z doskonałym wiatrem i o rozległych chodach, najlepiej jest polować w sposób następujący: Myśliwy posuwa się z wiatrem, gajowy zaś postępuje o kilka kroków za nim, manewrując tak, aby latawiec unosił się przed myśliwym na 150 do 200 metrów. Myśliwy daje psu znak, aby poszedł wprost przed siebie na jakie 400 do 500 metrów, a wtedy każe mu wracać do siebie. Pies wraca, okładając, i tym sposobem wyciera cały teren przed myśliwym, kierując się na niego z dobrym wiatrem. Jeśli pies zrobi stójkę, wówczas rzeczą gajowego jest manewrować tak, wypuszczając i skracając sznurek, aby latawiec znalazł się ponad miejscem, w którem prawdopodobnie ukryte są kuropatwy. Myśliwy kieruje się ku temu miejscu, starając się, aby mieć ptaki pomiędzy psem a sobą. Kury, przerażone widokiem latawca, którego biorą za unoszącego się nad niemi drapieżnika, nie mają odwagi poderwać się i podlatują dopiero wtedy, gdy myśliwy jest tuż przy nich, a często nawet - w środku całego stada.

Kury zrywają się zwykle w kierunku wiatru, a wskutek tego myśliwy ma je prawie zawsze odlatujące wprost od siebie, gdyż sam nadchodzi z wiatrem.

Jest to najlepszy sposób postępowania, gdyż gajowy, idący za myśliwym, nie płoszy bynajmniej ptaków, któreby były poza donioslością strzałów. Lecz do tego polowania trzeba mieć psa pierwszej klasy, o wielkich chodach i posłusznego, słowem zwierzę, rzadko gdzie spotykane, a które na wagę złota możnaby sprzedać.

2. Polując z psem średniej miary, a szczególnie o krótkich chodach, należy postępować inaczej. Myśliwy idzie pod wiatr, a pies okłada przed nim na krótką metę. Gajowy trzyma się przed nimi na odległość jakich 200 metrów od myśliwego, manewrując latawcem skośnie do wiatru tak, aby przyrząd unosił się przed samym psem. Kiedy ten zrobi stójkę, gajowy, podobnie, jak w pierwszym wypadku, stara się utrzymać latawca nad kuropatwami, a jednocześnie myśliwy podchodzi do nich. Jedyna różnica, że niepodobna jest wtedy mieć kuropatwy między sobą a psem, jak w pierwszym wypadku.

Jeżeli ten manewr jest dobrze wykonany, latawiec utrzyma kury na miejscu, a myśliwy ma dość czasu do podejścia; kuropatwy jednak, ruszone z dobrym wiatrem, porwą się prawie zawsze, pchane przezeń, czyli w kierunku myśliwego, który nieraz zmuszony będzie zwrócić się, aby je strzelać. Zresztą ptaki są tak przerażone, że pozwalają przejść myśliwemu i zrywają się rozproszone tuż nad ziemią, opisując zygzaki na wszystkie strony.

Kiedy myśliwy znajdzie się tuż obok kuropatw, zrywają się z pod nóg i zdają się wylatywać z pod ziemi. Strzały są tem samem trudniejsze i wymagają wielkiej uwagi, jeśli jest kilku myśliwych przy stadzie, aby się wzajemnie nie postrzelać.

Przerażenie kuropatw, na widok tego nieznanego drapieżnika, jest tak wielkie, że zdarzało nam się widzieć ptaki, które, wpadłszy do sąsiedniego gąszczu, dawały się brać rękami z przed stójki psa. Jest to zła strona tego rodzaju polowania.

Jest też niezbędnem do niego mieć znaczną przestrzeń terenu, aby nie wracać więcej, jak raz lub dwa do tego samego miejsca; bo inaczej ptaki wyniosą się zupełnie z tej niegościnnej okolicy.

Co się tyczy zajęcy, to i one przywarowują twardo, a jeśli zając przypadkiem dostanie się pomiędzy psa i latawca, wówczas przerażenie jego jest tak wielkie, że wykonywa cały szereg manewrów, czysto cyrkowych, nadzwyczaj śmiesznych.

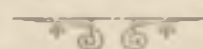
Kwestyą pierwszorzędnej ważności jest przyuczanie gajowych do manewrowania latawcem, szczególnie, jeśli się poluje z dobrym wiatrem, t. j. według drugiego systemu: trafiają się między nimi tacy, którzy nigdy nie dojdą do należytej wprawy; lecz natomiast znajdą się tak zręczni, że po godzinnej wprawie nie chybiają już żadnego stada.

Wogóle można powiedzieć, że jest to polowanie nadzwyczaj zabawne, o ile polujemy raz lub dwa najwyżej na tym samym terenie, aby nie wygonić zwierzyny poza granicę majątku: takie jest przynajmniej nasze przekonanie. Latawiec może wyświadczyć nam znakomite usługi w lata suche, jak np. lato 1904 r. lub w okolicach, gdzie kuropatwy są zbyt bystre już z chwilą otwarcia sezonu. Dzięki latawcowi, zabiliśmy około 1,000 kuropatw w sierpniu i wrześniu 1904 roku, gdy tymczasem, polując zwykłemi środkami, nie wiem, czybyśmy zdobyli trzecią część tego.

Zakończę te swoje uwagi opisaniem przygody, myśliwskiej wprawdzie, niemniej jednak prawdziwej.

Pewnego razu zostaliśmy zaproszeni na polowanie w okolice Breisach. Przybyliśmy jednak ze znacznem opóźnieniem wskutek zepsucia się samochodu. Nasz gospodarz, znudzony wyczekiwaniem, udał się sam na polówkę do winnic w sąsiedztwie rzeki Ill; winnice te były poprzecinane dość znacznemi rowami i parowami. Nie wiedział on, że przywieziemy z sobą latawce. Skorośmy tylko przybyli, puściliśmy swe dwa latwce w odległości jakich 500 metrów od winnic, a nasi dwaj ludzie zaczęli niemi manewrować w polu; my zaś puściliśmy się na poszukiwanie swego przyjaciela, lecz bezskutecznie: krzyczymy, nawołujemy—wszystko naprożno; nareszcie po długich poszukiwaniach znajdujemy go ukrytego w rowie; zrobił zasadzkę na... latawca! Możecie sobie wyobrazić, jakeśmy się naśmieli, gdy nam opowiedział, że wziął nasze latawce za parę orłów-bielików, które się spotyka dość często w okolicach Renu.

Nasz przyjaciel nie weźmie mi chyba za złe, że opowiedziałem tę awanturę: chciałem tylko przez to wykazać, że ptaki łatwo mogą się nastraszyć latawca, jeśli dobrzy nawet myśliwi na pewną odległość dają się niemi oszukać".



Listy do „Łowca Polskiego".

W sprawie głosu kszyka.

I.

Kszyk, ptak pospolity, tak na oko dobrze znany myśliwym, gdy idzie o głos jego, wywołuje zdania tak rozmaite, tak nieraz sprzeczne z sobą, że i ja, stary myśliwy, który z górą lat czterdzieści przemieszkałem w okolicy błotnistej, zapragnąłem też objawić swoje.

Kszyk - samiec posiada głosów cztery: pierwszy wszystkim znany przy zrywaniu się, brzmi mniej więcej

cej: *kszyk, kszyk*. Drugi jest to głos wabiący: *piku, piku, piku*, który słyszeć się daje tak w powietrzu, jak i na ziemi; tempo jego dość powolne;—trzeci: *pik, pik, pik*... jest również głosem wabiącym tak w powietrzu, jak i na ziemi. Czwarty, o który właśnie spór idzie, jest to beczenie, podobne do beczenia kozy, i również jest głosem, wabiącym samicę. Jedni utrzymują, że beczenie kszyka słyszeć można tak w powietrzu, jak i na ziemi; że kszyk na ziemi beczyć nie może, dałbym za to z całym spokojem głowę pod topór, a jak do takiego przekonania przyszedłem, pokrótce opowiem.

Będąc jeszcze na kursach w Warszawie, zostałem zaproszony na wieś, gdzieś w okolicy Radzymina. Poszedłszy na polowanie, usłyszałem pierwszy raz beczenie kszyka; byłem najpewniejszy, że go słyszę o dwadzieścia kilka kroków wprost przed sobą. Nachyliłem się i szedłem chyłkiem, aby go spłoszyć do strzału, tymczasem kszyk zabeczał z boku; skradam się znowu, aż tu zabeczał mi z drugiego boku, a nareszcie z tyłu. Stanąłem zdumiony, co to jest, że kszyk tak szybko biega wkoło mnie, a jeszcze bardziej, że się spłoszyć nie daje; aż nareszcie zobaczyłem, że on jest w powietrzu. W takiem samem położeniu musiał być ktoś drugi, tylko że ja spostrzegłem omyłkę, a ten ktoś jej nie widział, bo kszyk spuścił się na ziemię. Nie, kszyk nie beczy na ziemi; przez tyle lat mojej praktyki byłbym to przecież słyszał choć raz jeden.

Niektórzy dowodzą, że beczenie kszyka wychodzi z gardła, jakoby dlatego, iż jest to głos wabiący, a jednak wiele ptaków wabi się za pomocą skrzydeł. Kaczor-podgorzelec, ciągnąc wiosenną porą, wydaje skrzydłami głos bardzo donośny w celu łączenia się w małe gromadki, jakie widujemy na wiosennych wylewach rzek; gołębie i pustynniki zrywają się i trzaskają skrzydłami, dając hasło innym do zerwania się.

Szczególniejsza rzecz, jeżeli beczenie pochodzi z gardła, że go ptak nie wydaje, ani będąc na ziemi, ani latając poziomo, ani wznosząc się w górę, tylko zawsze jednakowo spuszczając się skośnie po linii krzywej! Wreszcie beczenie kszyka wydaje mi się zanadto donośnem na tak małego ptaka.

Dowodzą znowu, że głos beczący pochodzi od sterówek w ogonie. Trudno mi się zgodzić na to, bo ogon kszyka jest za mały i za lichy, aby taki głos mógł wydawać, tem bardziej, że kszyk, spuszczając się na dół, wytwarza ciąg powietrza, które płynie wzdłuż piór, nie mogą więc one wydawać innego głosu, jak tylko chyba szmer mały.

Czy kszyk głos beczący wydaje skrzydłami, tego stanowczo dowieść niepodobna; mocą tylko obserwacyi i rozumowania przychodzi się do tego wniosku. Kszyk, spuszczając się na ziemię, zwykle składa skrzydła; podczas beczenia również spuszcza się ku ziemi, a jednak je zawsze rozkłada, — to nie jest bez znaczenia. Parę razy zdarzyło mi się, stojąc pod lasem, widzieć beczącego kszyka bardzo blizko, tak, że mogłem dojrzeć drżenie piór w skrzydłach w takt z jego głosem. Wreszcie jeżeli przyjmiemy za pewnik, że głos ten nie pochodzi z gardła, to zkądżeby pochodził? Wszelkie próby sztucznego wytworzenia beczącego głosu kszyka, nie na wiele się przydadzą, bo ani wiemy, do jakiego stopnia skrzydła są rozłożone, ani w jakiem są położeniu do ciągu powietrza, wytworzonego przez ptaka, ani też nie możemy być pewni, czy nie robi on przytem jakich poruszeń.

Że głos beczący wraz z pikutaniem jest głosem wabiącym, zdają się za tem przemawiać następujące okoliczności: w dzień lata kszyk nie wysoko, tak, jakby upatrywał samicy, zachęcając ją głosem do odezwania się, późnym zaś wieczorem lata nieraz bardzo wysoko, chcąc beczeniem zwabić samicę, ciągnącą gdzieś tam daleko.

Samica posiada tylko dwa głosy, jeden przy zrywaniu się, taki sam, jak samiec, a drugi wabiący,—doskonale go naśladuje dmuchanie *pszuuu* w zwykły naparstek kobiecy, albo można to robić i w kułak. Samiec na ten głos idzie piechotą, cicho, czasem tylko odzywa się przytem *pik, pik, pik*. Zdarza się jeszcze, że gdy samiec, latając, upatrzy albo wysłucha samicę, spada raptem na ziemię. Dodać tu jeszcze trzeba, że wtenczas tylko samice się wabią, gdy samce, latając, beczą; gdy zaś jest cicho na błocie, wabienie ustaje, bo wtenczas żerują.

K. Dębicki.

II.

Pomieszczony w n-rze 12-ym „Łowca Polskiego" mój artykuł, dotyczący sprawy kszyka, skrytykował p. Jan Sztolcman, kwestyonując me wywody i podając w wątpliwość moje obserwacye. Jakkolwiek p. Jan Sztolcman jest znakomitym ornitologiem, doskonałym myśliwym obserwatorem, dla którego osoby jestem z pełnym szacunkiem, to jednak wypowiedziane zdania jego w sprawie kszyka nie przekonały mnie tak, abym w nie uwierzył, gdyż są sprzeczne z doświadczeniami, jakie wyniosłem z mej długoletniej praktyki.

Przechodząc do samej krytyki mego artykułu, chcę tu odpowiedzieć na nią hurtem, że nie zdołała ona obalić mych wywodów; bo p. J. Sztolcman ani jednego faktu z zapasu swych obserwacyj w tej sprawie, nie zaznaczył, któryby me obserwacye mógł zachwiać; powołał się na blade tylko obserwacye innych, na porównania i przypuszczenia, które wiary w swą prawdziwość nie wzniecają. Że p. Sztolcman, polując w lipcu i w sierpniu, nie zauważył, jak kszyki spłoszone unoszą się wysoko w powietrze i tam takie same harce wyprawiają, jak na wiosnę, opuszczając się po linii łukowato-ukośnej, i że przy tych harcach nie wydają charakterystycznego głosu beczącego, to nie jest jeszcze żadnym dowodem, że tak nie jest, bo p. Sztolcman widział wiele rzeczy, których ja nie widziałem, i odwrotnie ja mogłem widzieć i zaobserwować to, czego p. Sztolcman nie zauważył. Mniema p. Sztolcman, jakoby kszyk głos beczący był mógł wydawać, nie unosząc się w powietrzu [1]); takie twierdzenie słabnie okropnie wobec tego, że wiele ptaków, jak samczyki czajki, lelki, gołębie, siniaki, grzywacze, turkawki, wydaje swe głosy zalotne, i to zupełnie inne od tych, jakie wydają na ziemi, siedząc, pierwsze gardzielą, drugie i trzecie skrzydełkami wyłącznie tylko w powietrzu, więc dlaczego kszyk niema podobnie czynić? Przytoczony przez p. Sztolcmana przykład o pawiu, który drżeniem piór ma wydawać głos, podobny do beczenia kszyka, jest wielce interesujący. Posiadam sam pawie, z których samczyk bardzo często roztacza swój ogromny ogon w śliczny wachlarz i w niektórych chwilach, podobnie jak indyk, przebiera szybko ciekami i w chwilach tych drżą stosiny piór i pióra same, lecz głosu, o jakim p. Sztolcman pisze, nigdy nie słyszałem i nie usłyszeliby go z pewnością i oni wielcy, przez p. Sztolcmana wybrani artyści, jak Battistini, Paderewski, Barcewicz, pomimo doskonale wyrobionego ich słuchu.

Wracając do samej istoty rzeczy, upraszam wszystkich pp. myśliwych w ogólności, a p. Sztolcmana w szczególności, aby, polując w lipcu i sierpniu, na kszyki, dla miłości sprawy kszyka, swą uwagę zwrócić raczyli na to, co tu opowiem, a po sprawdzeniu, same fakty i swe spostrzeżenia podać zechcieli dla pomieszczenia ich w „Łowcu Polskim".

Polując w lipcu i w początkach sierpnia na kszyki, przekonamy się, że podrywać się będą jedne kszyki zdaleka, po za granicami strzałów, drugie bliżej myśliwego dopuszczą, a trzecie z pod nóg będą wzlatywały. Pierwsze są to stare samczyki, drugie — stare samiczki, a trzecie — to młode, tegoroczne la-

[1]) Szanowny Autor się myli, gdyż ja przeciwnie twierdzę, że kszyk może wydawać swój głos beczący, tylko unosząc się w powietrzu.

J. Sztolcman.

tosie. Samczyki stare, raz, drugi i trzeci spłoszone, wzbijają się wysoko w powietrze i tam, wyprawiając te same harce, co na wiosnę, t. j. opuszczając się po łukowato ukośnej linii, zachowują się zawsze niemo, nie wydają tego charakterystycznego głosu beczenia, co na wiosnę. Zdaniem mojem, to aksyomat niczem nie zbity, pouczający nas, że kszyki-samczyki nie sterówkami skrzydeł, lub ogona, nie drżeniem tychże, lecz gardzielą, dziobem, swój głos charakterystyczny, beczący wydają. Nie czekajmy więc, aż nas inni pouczą, lub coś w przedmiocie tym napiszą, lecz przekonajmy się sami u siebie, gdyż obecnie jest najlepsza pora ku temu i tym sposobem rozwiążemy węzeł gordyjski w sprawie kszyka.

Mniemam, iż to najwłaściwsza i najkrótsza droga do przekonania się o prawdziwości mych wywodów i obserwacyj, pomieszczonych w artykule, drukowanym w „Łowcu Polskim“ w n-rze 12, a skrytykowanym przez pana Sztolcmana.

W. Szostak.

Z obu listów p. Szostaka widzimy, że Szanowny Autor, dowodząc wydawania głosu beczącego przez kszyka za pomocą gardła (*resp.* dzioba), opiera się głównie na argumencie następującym: kszyk w lipcu i sierpniu odbywa analogiczne harce, jak na wiosnę, a ponieważ w sierpniu i lipcu beczącego głosu nie słyszymy, więc kszyk nie wydaje głosu piórami (skrzydłami, czy ogonem), lecz gardłem. Podałem już poprzednio w wątpliwość obserwacyę p. Szostaka, co do odbywania przez kszyka harców lipcowych i sierpniowych; widziałem bowiem w tej porze mnóstwo razy kszyki, unoszące się nad błotami, lecz ani razu nie zauważyłem, aby w tych wypadkach powtarzały *peryodycznie* manewr opuszczania się i podnoszenia w górę. Przypuszczam jednak, że ja się mylę, i przyjmuję, że obserwacya p. Szostaka jest dokładną i że kszyk w lipcu i sierpniu odbywa absolutnie takie same harce w powietrzu, jak na wiosnę podczas tokowania. Ta okoliczność nie dowodzi bynajmniej, że kszyk wydaje głos swój dziobem, bo jak to wypada z obserwacyi pp. J. Biesiekierskiego, Przecławskiego i Dębickiego, kszyk opuszczając się podczas tokowania ku ziemi, *wprawia w drganie swe skrzydełka*, i to drganie powoduje właśnie głos beczący. Otóż kszyk, wyprawiając na wiosnę swe harce, może wprawiać w drganie swe skrzydła, a powtarzając je w lipcu lub sierpniu, może drgania tego nie powodować i tem samem głosu beczącego nie wydawać.

Nie chcąc zbyt długiemi polemikami zbytnio obciążać uwagi i nadużywać cierpliwości naszych łaskawych czytelników, a pragnąc wyświetlić tę, tak ciekawą kwestyę, zwracamy się z prośbą do tych wszystkich kolegów myśliwych, którzy mieli sposobność obserwowania kszyków, aby zechcieli nam nadesłać możliwie krótką odpowiedź na następujące pytanie: czy kszyk, według ich przekonania wydaje głos beczący dziobem *resp.* gardzielem, czy piórami, a w tym ostatecznym wypadku, czy skrzydłami, czy ogonem? Ten rodzaj plebiscytu jeśli nie wyświetli zupełnie prawdy, to nas do jej odkrycia zbliży.

Jak dotychczas, za pochodzeniem głosu kszyczego od drgania piór, oświadczyli się tacy obserwatorowie, jak Naumann, Brehm, Taczanowski, Mewes i wielu innych, a do nich z pośród naszych czytelników przyłączyli się, jak dotychczas, pp. Biesiekierski, Przecławski i Dębicki. Po stronie gardłowego pochodzenia głosu bekasa, jak dotychczas, mamy tylko p. Szostaka.

Jan Sztolcman.

W sprawie tablic do określania ptaków drapieżnych.

Z uwagi na powtarzane w „Kalendarzu Myśliwskim“ wezwanie do oszczędzania pustułek i myszołowów z powoływaniem się na wydane przez Towarzystwo prawidłowego myślistwa tablice do określania gatunku drapieżnych ptaków, należy zaznaczyć, że tablice wspomniane zupełnie nie odpowiadają celowi.

Z tablic nikt się nie nauczy, jak dany ptak w naturze wygląda, a dla określenia jego gatunku trzeba go szczegółowo rozpatrywać i szczegółowo porównywać z danemi tablicy, oczywiście zatem żadna korzyść ztąd nie wynika, gdy myśliwy, po zabiciu ptaka, przekona się, że zabił pożytecznego, zamiast szkodliwego.

Dla odniesienia korzyści z tablic każden myśliwy musiałby zabić przynajmniej po jednej sztuce każdego gatunku, co rzadko komu może się zdarzyć.

Aby rzeczywiście dać możność myśliwym i najszerszej publiczności zapoznania się z gatunkami tych ptaków, należałoby w miejscu zupełnie dostępnem, np. w przedsionku lokalu Towarzystwa, wystawić wypchane ptaki drapieżne wszystkich gatunków, i to koniecznie każdego w dwóch pozach — siedzącego i w locie z jawnem odróżnieniem pożytecznych od szkodliwych, np. kolorem podstawek, przyczem podobne do siebie typy pożyteczne i szkodliwe, powinny być umieszczone obok siebie dla możności porównania.

Fotograficzne lub litografowane zdjęcia tych ptaków powinny być wydane w tablicach kolorowanych dla sprzedaży, choćby dość drogo, bo znalazłoby się z pewnością dużo amatorów, którzyby kupowali dla własnej wiadomości.

Wtedy tylko każdy myśliwy może nauczyć się rzeczywiście odróżniać, jakie ptaki drapieżne ma strzelać, a jakie pożyteczne oszczędzać.

Konrad Łękawski.

Powziąwszy zamiar ułożenia i wydania „Tablic do określania ptaków drapieżnych“, nie miałem bynajmniej na myśli, aby z nich każdy odrazu mógł określać ptaka w locie, bo takich tablic nikt nie jest w stanie ułożyć, a to tem bardziej, że ci, którzy od strzeliwaniem drapieżników się zajmują, t. j. gajowi, jako ludzie po większej części wcale, albo mało wykształceni, podobnemi tablicami posługiwać się bezpośrednio nie są w stanie. Czy zaś tego rodzaju tablice, jak tego chce Szanowny Autor powyższego listu, mijają się zupełnie ze swym celem, postaram się w kilku słowach objaśnić.

Przedewszystkiem nadmienię, że tablice, przezemnie ułożone, mają prawie wyłącznie znaczenie dla tych majątków, w których ustanowione jest strzałowe od zabitych drapieżników. Kontrolą strzałowego, czyli sprawdzaniem „dowodów rzeczowych“ (zwykle łapek), zajmuje się albo leśniczy, albo administrator, niekiedy łowczy lub sam właściciel majątku, — w każdym razie człowiek z inteligencyi, który tem samem może korzystać ze wspomnianych tablic, jeśli tylko ma pewną dozę cierpliwości i dobre chęci. Przez pewien czas gajowi muszą mu dostarczać ptaki całkowite, które on określa według cech, zamieszczonych w tablicach, a po krótkim przeciągu czasu pozna tym sposobem wszystkie pospolite gatunki, co jest rzeczą najważniejszą, bo tych ginie stosunkowo najwięcej. Każdy, określony przez siebie gatunek, pokazuje gajowym i objaśnia, czy go należy strzelać lub nie. Lud prosty, mający ciągłą styczność z przyrodą, nadzwyczaj szybko naucza się wyróżniać i poznawać rozmaite gatunki ptaków i zwierząt; wiem o tem z doświadczenia. Z pewnością więc twierdzić można, że po krótkim przeciągu czasu gajowi nauczą się rozpoznawać wszystkie, przynajmniej pospolitsze, gatunki dra-

pieżników, i to nietylko po zabiciu, ale nawet w locie. Mają oni do tego doskonałe oczy i znakomity zmysł obserwacyjny. Trzeba z nimi przejść tylko szkołę, i to kłopotliwą, czemu nie przeczę bynajmniej, alećprzecież wszelka kultura wymaga zachodu i pracy, a w tym wypadku sprawa ochrony niektórych drapieżników jest zbyt ważną dla ekonomii kraju, aby ją zaniedbywać.

Projekt założenia muzeum ptaków drapieżnych, krajowych w lokalu Towarzystwa praw. myśl. jest niepraktyczny, bo gdzieżby ludzie interesowani mogli zjeżdżać się z odległych części Królestwa dla studyowania tej kolekcyi, wymagającego w każdym razie kilkodniowego pobytu na miejscu. Lepiej odpowiedziałoby celowi utworzenie muzeów gubernialnych (co już jest praktykowane w Cesarstwie), a jeszcze lepiej powiatowych, bo wtedy każdy właściciel majątku mógłby z łatwością zapoznać się osobiście lub dać możność swym oficyalistom do poznania ważniejszych przedstawicieli naszej fauny. O zakładaniu jednak takich muzeów dziś mowy być nie może, a w przyszłości wtedy tylko będzie można ten, doniosłego znaczenia projekt urzeczywistnić, jeżeli kraj nasz uzyska samorząd ziemski i miejski.

Proponowane przez pana Łękawskiego, rozpowszechnianie podobizn ptaków drapieżnych jest również trudne do urzeczywistnienia. Reprodukcye fotograficzne nie dają dokładnego pojęcia i nikogo nie nie nauczą. Figury zaś litograficznie kolorowane (chromolitograficzne), jeśli mają być dobre, to pociągną za sobą takie koszta wydawnictwa, że żadna firma wydawnicza nie podjęłaby się takiego przedsiębiorstwa, bo albo musiałaby sprzedawać tablice bardzo drogo, coby niewątpliwie popyt ograniczyło; albo sprzedając tanio, narażiłaby się na straty. Z instytucyj zaś społecznych trud takiego wydawnictwa mogłyby tylko wziąć na siebie Towarzystwa rolnicze do spółki z Towarzystwem prawidłowego myślistwa. Niewątpliwie, że porządnie wydane tablice chromolitograficzne, nietylko ptaków drapieżnych, ale wogóle wszystkich *ptaków użytecznych*, rozesłane po urzędach powiatowych i gminnych, a także rozpowszechniane wśród właścicieli ziemskich i ludu wiejskiego, oddałyby nieocenione usługi, lecz takie wydawnictwo pochłonęłoby kilka, a może kilkanaście tysięcy rubli. Miejmy nadzieję, że w przyszłości dojdziemy i my do tej doskonałości, a tymczasem ludziom dobrej woli nie pozostaje nic innego, jak kontentować się używaniem moich tablic, które Towarzystwo prawidłowego myślistwa rozdaje członkom swoim bezpłatnie, a których cena dla osób postronnych jest bardzo nizka, nierokująca pokrycia nawet połowy kosztów wydawnictwa.

Że tablice moje w ręku ludzi cierpliwych i chcących z nich korzystać, mogą oddać poważne usługi, o tem mogłem się przekonać wielokrotnie. Osoby, niemające nic wspólnego z ornitologią krajową, nieznające bynajmniej dość trudnego zresztą mechanizmu określania ptaków, określały niemniej przy pomocy tych tablic nasze drapieżniki z kompletną dokładnością. Gdym po raz pierwszy dał w ręce te tablice i jakiegoś ptaka drapieżnego jednemu ze znajomych swoich i objaśniwszy mu sposób użycia, zostawił samemu sobie, po kwadransie, czy po 20-stu minutach czasu, znajomy mój najdokładniej zadecydował, że ptak ten należy do takiego a takiego gatunku. Ucieszyłem się tem niepomiernie, gdyż miałem dowód, że mechanizm moich tablic jest niezbyt trudny i dokładny. Na nieszczęście tablice te rozeszły się dotychczas w bardzo nieznacznej ilości, co tylko obojętności naszych pp. rolników i hodowców przypisać należy.

Jan Sztolcman.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Wydziału ochrony i polowań odbyło się w d. 7 sierpnia pod przewodnictwem prezesa Wydziału, p. W. Słonczyńskiego. Postanowiono otworzyć polowanie na kuropatwy na terenach osieckich w d. 25 września, na Miedznie zaś w d. 5 września.

Jednocześnie oznaczono termin trwania konkursu strzeleckiego, urządzonego dorocznie w Strzelnicy Warszawskiej staraniem Towarzystwa, które na nagrody wyznacza rb. 500. Konkurs trwać będzie od d. 24 września do d. 29 października. Komitet konkursu stanowią wszyscy Członkowie Wydziału ochrony i polowań z p. Słonczyńskim, jako przewodniczącym, oraz następujący zaproszeni pp. Bolesław Awenarius, hr. Aleksander Iliński-Koszowski, Stefan Kretkowski, Stanisław Lilpop, ks. Konstanty Radziwiłł, dr. Stanisław Zaborowski i Robert Ziegler. Posiedzenie komitetu konkursowego oznaczono na d. 16 sierpnia.

Posiedzenie Rady, d. 9 sierpnia. P. naczelnik pow. nowo-mińskiego zawiadamia, że niema nic przeciw wydaniu bezpłatnych biletów na broń dla stróżów miejsc ochronnych na majątku Stara-Wieś, Maszkiewicza i Kowalskiego. Postanowiono stróżów tych zatwierdzić i prosić p. Gubernatora warszawskiego o wydanie im biletów.

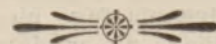
Hr. Starzeńska prosi o zamianę biletu na broń dla stróża miejsc ochronnych, Stanisława Różyckiego. Postanowiono sprawdzić, czy władze administracyjne nic mają nic przeciw temu.

P. Gubernator kaliski zawiadamia, że rozkazał wydać bilet bilet bezpłatny dla stróża miejsc ochronnych w majątku Jasieńa, Wawrzyńca Wiśniewskiego.

Petersburskie Tow. miłośników psów rasowych zawiadamia o terminie prób polowych wyżłów. Rada postanowiła wysłać trzy żetony (złoty, srebrny i bronzowy) dla najlepszych psów.

P. Gubernator radomski zawiadamia, że w granicach jego guberni odebrano w ciągu 1904 r. 294 sztuk broni jednolufowej i 63 sztuk dubeltówek. Rada postanowiła wysłać na ręce p. Gubernatora 147 rubli na nagrody dla straży ziemskiej.

P. Oskar Saenger prosi o zatwierdzenie Mateusza Magiery na stanowisko stróża miejsc ochronnych „Opaleń" na miejsce Jana Stańczyka. Postanowiono prosić p. Gubernatora warszawskiego o wydanie bezpłatnego biletu na broń.



Drobiazgi myśliwskie.

Polowanie w pasie granicznym. Postanowienie obowiązujące p. gubernatora piotrkowskiego, ogłoszone w „Pet. gub. wied.", zabrania w obrębie 7-wiorstowego pasa pogranicznego, bez uprzedniego za każdym razem zawiadomienia straży pogranicznej, urządzać polowania nietylko z obławą lub naganką, ale i pojedyncze. Winni przekroczenia tego postanowienia pociągani będą do odpowiedzialności według § 29 ust. o karach.

Nieostrożne obchodzenie się z bronią. W tych dniach mieszkaniec wsi Michałówek, gm. Jabłonna, 20-letni Stanisław Wach, wybierał się na polowanie. Przedtem opatrzył i nabił dubeltówkę i postawił ją przed domem, oparłszy lufę o ścianę, sam zaś wszedł do mieszkania po zapasy spożywcze. Niewiadomo z jakich powodów dubeltówka osunęła się i padając na ziemię, spowodowała wystrzał. Cały nabój ugodził w twarz śpiącego nieopodal, na ławce, dzierżawcę ogrodu, Szaję Majera Choinkę. Śmierć Ch. nastąpiła prawie natychmiast.

Polowanie w czasie zabronionym W d. 16 lipca, jak donoszą do „Gaz. Kaliskiej“, nad granicą we wsi Kurza polowano na zające i kuropatwy, pomimo że termin otwarcia polowania dopiero w d. 14 sierpnia wypada.

Psy chore. „Echa Płockie“ piszą: Ostatniemi czasy włóczy się po mieście mnóstwo psów, chorych na t. zw. „weszkę“, bez opieki. Przeważnie są to psy większe, wyżły i pudle. Choroba to poważna, rujnująca organizm zwierzęcia w krótkim przeciągu czasu. Objawy zewnętrzne—krosty i owrzodzenia. Ze względu na zwierzęta zdrowe, które bardzo łatwo paść mogą ofiarą tej zaraźliwej choroby, a szczególnie ze względu na dzieci, lubiące bawić się z psami i głaskać je ręką, zwracamy na to uwagę właścicieli psów — oraz policyi.

Handel futrami. Na międzynarodowym rynku futrzanym w Lipsku, na tegoroczny sezon zimowy ustalono modę, mającą ścisły związek z wydarzeniami na Dalekim Wschodzie. Transporty futer sobolowych zwykle nadchodzą do Lipska najliczniej, popielicowych zaś wyłącznie — z Syberyi. Podczas ostatniego jarmarku, dostawy tych futer chybiły, z powodu powołania znacznej liczby myśliwych syberyjskich do armii czynnej. Brak soboli z jednej, oraz chęć podwyższenia wartości popielic z drugiej strony, matadorom handlu futrzanego podsunął myśl wytworzenia mody popielic, ufarbowanych na sobole. Akcyą tą zajęły się wszystkie farbiarnie specyalne w Niemczech, Francyi i Anglii. Imitacye soboli tym sposobem w zbliżającym się sezonie zimowym mają być najmodniejsze.

Wykopalisko. „Dziennik poznański“ donosi: W majętności Redgoszczu, w pow. węgrowieckim, przy zakładaniu karpiarni w jeziorze tamtejszem, natrafiono na ślady przedhistorycznych mieszkań nadwodnych. Prócz obrobionych kawałków dębiny, znaleziono sporo naczyń, które, niestety, wszystkie uległy rozbiciu. Największą osobliwością jest wszakże znaleziona tamże czaszka zwierzęcia, jak się zdaje, wodnego. Czaszka ta, wielkości głowy dziecka, formy spłaszczonej, ma ponad nosem dwa rożki, zadarte w formie kłów u dzika. Właściciel Redgoszcza, p. Wład. Janta Połczyński, zamierza wykopaliska te przekazać muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu. W jesieni rozpoczęte będą dalsze poszukiwania.

Karol Francotte, szef znanej firmy belgijskiej A. Francotte & Co., został jednogłośnie wybrany przewodniczącym sądu konkursowego w dziale broni krajowej i zagranicznej (dubeltówek, sztućców, rewolwerów etc.) na ostatniem posiedzeniu komitetu międzynarodowej wystawy przemysłowej w Leodyum (Liège).

Środek przeciw pchłom u psów. Gotuje się 70 grm. piołunu i 70 grm. owoców kolokwinty w litrze wody. Płynem tym należy myć psy, a pchły wyginą.

Zmyślność psa. Osobliwy dowód zmyślności psiej daje jamnik, będący własnością urzędnika kolei na stacyi Wellinborough w Anglii. Wychodzi on witać pociągi, które mają wagon restauracyjny, zasiada wprost okna kuchennego przedziału i rzadko się zdarza, żeby jego uprzejmość nie została wynagrodzona jakim smacznym kąskiem. „Jack“ — imię psa — na przyjście zwykłych pociągów jest zupełnie obojętny i nawet nie raczy wyjść z kancelaryi pana, gdy zajeżdżają na stacyę.

Pomnik maciory. Niedaleko Manchesteru w Anglii, znakomita gospodyni z okolicy wzniosła w ogrodzie swojej fermy w Worsley, nagrobek najstarszej maciorze z chlewni. Na kamieniu wyryty został napis: „Pamięci Polly, matce 200 prosiąt: — zdechła 23 grudnia 1904 r.—miała lat $15^1/_2$.“

Zastępca mopsa. — Dlaczego pani taka smutna?
Pomienka: — Mój mopsik mi zginął.
Młodzieniec (z westchnieniem): — Ach! gdybym mógł go pani zastąpić.

* *

Po polowaniu. — Znowu przychodzisz z pustemi rękoma?... Nie mogłeś zabić nawet nędznego zająca?
— Ależ, moje dziecko, nie miałem przy sobie ani grosza.

* *

Samiczka. Konduktor kolejowy. — Proszę pani, ten kot musi iść precz z damskiego przedziału.
Panna X. — Ależ to kotka!...

Treść Nr. 16 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata **„Łowca Polskiego“** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюля 1905 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.